

DODATEK NADZWYCZAJNY

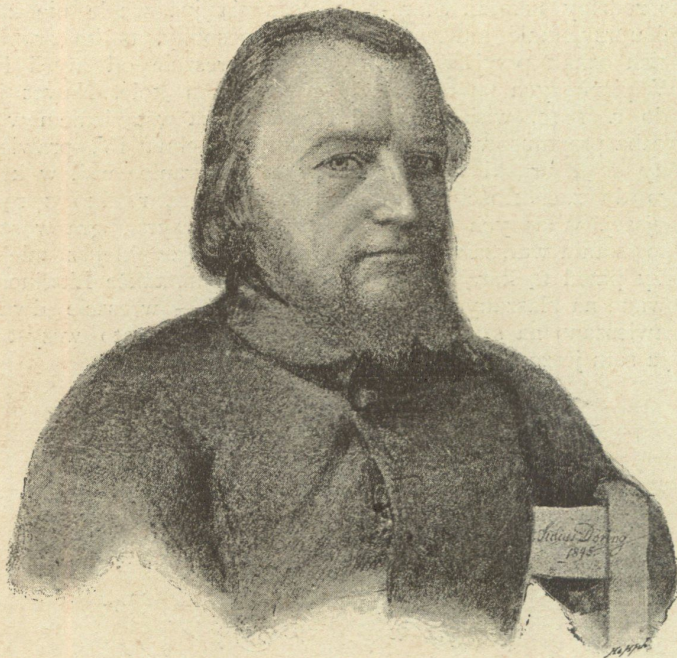
do Nru 20 „Świata“ z dnia 15 Października 1889 r.

FRANCISZEK MICKIEWICZ.

Wspomnienie niniejsze o tym najstarszym bracie wielkiego poety dołączamy do wizerunku, który jest wierną kopią fotografii Franciszka, zrobionej dla synowicy jego Maryni *), której też względem dla pisma naszego zawdzięczamy przyjemność, że się tą pamiątką możemy z czytelnikami podzielić. Już na pierwszy rzut oka przypomina portret ten pod niejednym względem ogólną fizyonomię Adama. Podobne podobieństwo zachodziło pomiędzy tymi braćmi i pod względem duchowym, oczywiście w możliwych granicach i o ile na to dozwalały z jednej strony geniusz wieszcz, który porównania nie znosi, z drugiej strony skromny zakres istnienia, przez okoliczności zewnętrzne skazanego na życie bez rozgłosu i bez własnej inicjatywy.

Franciszek Bronisław dwu imion Mickiewicz, najstarszy w całym rodzeństwie, przyszedł na świat w Nowogrodzku w miesiącu sierpniu roku 1796. Był przeto bez mała o półtrzecia roku starszy od brata Adama. Szkoły przechodził w mieście swoim rodzinnem porównanie z bratem, po których ukończeniu wstąpił do nowogrodzkiej palestry, tej w tamtoczesnych stosunkach jakby szkoły praktycznej prawa i sądownictwa. Po upływie przepisanych lat aplikacji i przeszedłszy niższe stopnie swego zawodu, osiągnął nasz młody prawnik w stosunkowo młodym wieku posadę rejenta, który to urząd mniej więcej odpowiada funkcji naszych notaryuszów. Na tem stanowisku zastał go r. 1830. Na wstrząsającą wieść o wypadkach warszawskich zapragnął Franciszek wziąć udział w tym boju o niepodległość ojczyzny. Stu innych na jego miejscu nie byłoby ani zamarzyło o czemś podobnym. Młody nasz rejent był bowiem od urodzenia kaleka, kulawy w skutek prawej nogi uszkodzonej w stopie i znacznie krótszej, postawy wątłej, wzrostu dziwnie maleńkiego, oprócz

tego jeszcze i w znacznym stopniu ułomny. Ta wadliwość fizyczna nie powstrzymała go jednak od zamiaru złożenia na ołtarzu świętej sprawy długu i od swojej osoby, jakkolwiek ona była. Jakoż przedarłszy się szczęśliwie przez granicę, został przyjęty do jednego z pułków konnych i jako ułan, zrazu szeregowiec, w kilka miesięcy później porucznik, odbył całą tę kampanię z niemałą chwałą dla siebie, dzielił bowiem wszystkie trudy swych kolegów, jak gdyby do najsilniejszych między nimi należał i odniósł w jednej z zaciętych potyczek kilka ran chlubnie świadczących o jego męstwie.



FRANCISZEK MICKIEWICZ.

Po upadku powstania rzuciły go losy na ziemię berlińską pruskiemu podległą — w Poznańskie. W jednym z miesięcy jesiennych r. 1831 było mu danem spędzić tu dni kilka z bratem swoim Adamem i towarzyszącym mu Stefanem Garczyńskim. To połączenie się braci, od tylu lat nie szczęśliwym zbiegiem okoliczności rozdzielonych od siebie — pierwsze po tak długim niewidzeniu się, a i ostatnie niestety, jak dalszy skutek okazał — zaszło w Łukowie w gościnnym domu Józefostwa Grabowskich (wspomnianym wdzięczną pamięcią w »Panu Tadeuszu«). Po nie-

długim (najwyżej dwutygodniowym) pobycie w tych stronach, Adam Mickiewicz wraz z towarzyszem swoim wyjechał z Łukowa, a niedługo potem i z Poznańskiego za granicę; Franciszek zaś pozostał już w gronie tej rodziny nadal, oczekując szczęśliwego jakiego obrotu okoliczności, któryby mu dozwolił inaczej postanowić coś o swym losie. Na obrót taki czekał napróżno. Wiadomości przychodzące z nie szczęśnej, a tak serdecznie ukochanej przez niego Litwy nie mogły go do powrotu zachęcać. O podążeniu za tyłu drugimi na emigrację przy jego kalectwie także nie było można myśleć. Skończyło się tedy na tem, że nasz wygnaniec stałym już gościem w tym domu pozostał aż do roku 1855, w którym to roku majątność ta przeszła w inne ręce, niestety niemieckie, co pociągnęło za sobą tę dla Franciszka konieczność, że się przeniósł w owym czasie do

*) Myli się w tym względzie czcigodny autor niniejszego wspomnienia, reprodukcja nasza wykonana jest bowiem podług portretu rysowanego przez A. Döringa, należącego do pana Stanisława Łódzkiego Baranowskiego. (Przypisek redakcyi).

sąsiedniego z Łukowem Roźnowa, własności Baranowskich, rodziny z dawnych lat jak najściślej z nim zaprzyjaźnionej. Tu też i życia dokonał dnia 13 listopada r. 1862. Pochowany w Roźnowie, gdzie jego grobowiec na cmentarzu przy kościele się znajduje.

W powyższym krótkim zarysie daje się objąć życie tego szlachetnego i dla wszystkich, co go znali, dziwnie sympatycznego człowieka. Życie w zdarzenia nie obfite, ciche, w ustroniu i jakby w ukryciu spędzone, życie człowieka ze wszech miar godnego lepszego losu. Zdolnościami nie mógł on się wprawdzie mierzyć z swym wsławnym bratem; była to jednak natura wyższego zakroju, niepomiernej inteligencji, podniosłego umysłu. Cechowała go najwyższa bezinteresowność, prawie granicząca z dumą, by niczego od nikogo nie żądać, a nawet i najczęściej nie przyjąć. Poprzestawał na najmniejszym, ani nie czując, a tem mniej dając komu poznać, że żyje w ograniczeniu. Gościnność jakiej u Grabowskich i u Baranowskich doznawał, odwdzięczał serdecznem przywiązaniem. Był też przez nich nietylko lubiony, ale i traktowany z poważaniem i takim życzliwym współczuciem, jak gdyby do rodziny należał. Starano się wszelkimi sposobami uprzyjemnić mu życie, które pomimo tych wszystkich oznak przyjaźni nie było jednak szczęśliwem. W pierwszych latach pobytu jego w Łukowie, aż do r. 1840, wisiała nad nim jak miecz Damoklesa groźba przymusowego wydalenia z kraju. Tamtoczesny rząd pruski trzymał się systemu dość podobnego do zaciekłości i bezwzględności tego rządu dzisiejszej. Własnych poddanych, którzy wzięli udział w powstaniu warszawskiem, karał więzieniem. Tych, którzy przed tą karą zbiegli za granicę, portrety wymalowane na blaszanych płytach, z podpisem nazwisk, zawieszano na szubienicy, na której lata całe wisiały. Ja sam jeszcze szubienicę

taką, przy odwachu w Poznaniu postawioną, widziałem w latach 1833 i dalszych. Jeżeli zaś uczestnik ruchów z r. 1831 nie należał do krajowców, to za wielką jeszcze łaskę uważać mu kazano, jeżeli go nie wydawano rosyjskiemu rządowi, a tylko przymusowo wydalono do Francji. I Franciszkowi dola taka groziła. A że go to nie spotkało, zawdzięczał jedynie swej biednej fizyczności, pod pretekstem której mógł uchodzić za chorego, tudzież wpływom u rządu, jakie zachować potrafił hr. Grabowski, jako dyrektor tamtejszego ziemstwa kredytowego. Najwięcej jednak przyczyniło się to do tego, że nasz łukowski gość usilnie wszystkiego się wystrzeżał, coby go czuwającym nad nim oczom mogło przypominać. Bardzo też rzadko pozwalał sobie wyjażdżek, choćby w bliskie sąsiedztwo (np. do Obiezierza, własności Turnów, którzy go mile zawsze u siebie widzieli), jeżeli droga prowadziła przez powiatowe miasto (Oborniki) i rezydencję landrata z całą szajką urzędników wiadomego kalibru. W zamkniętym tylko powozie przez to miasteczko i przez przewóz przez Wartę przy nim ośmielał się przesunąć, a do Poznania już wcale nie zaglądał. Te lat kilka tak go usposobiły, takim zrobiły go domatorem, że odwykł wreszcie od myśli i od chęci obracania się w szerszem kole. Nawet i po zmianie rządowego systemu, za wstąpieniem w r. 1840 na tron Fryderyka Wilhelma IV, prawie wcale nie wychylał się już poza granice wsi, w której to życie pędził. Fajeczka, którą rzadko z ręki odkładał, książki, których dużo czytał, gra w szachy bardzo przez niego lubiona, najzwyczajniej z miejscowym proboszczem X. Nieprzeckim, także Litwinem przez losy w te strony rzuconym — wreszcie dwa psy jamniki, nigdy go nieodstępujące, oto wszystko co zapełniało jego życie samotne.

ANTONI MAŁECKI.

